

Z PARADOKSÓW POKREWIEŃSTWA

Stendhal — Nietzsche — Bizet — ta trójca nazwisk wprawia mnie zawsze w podziw, a raczej w stan marzenia; o ile pierwsze dwa kojarzą się łatwo: pokrewieństwo bowiem pomiędzy Stendhalem z jego niemieckim entuzjazmą nietylko jest zadokumentowane historycznie, ale da się bez trudu wyczytać w dodatku filozofa — o tyle bliskość twórcy „Zarathustry” Bizetowi ma w sobie, na pierwszy rzut oka, coś z kaprysu. Entuzjazmy Nietzschego dla śpiewaka Carmen, zwrócone w dodatku ostrzem przeciw głębiemu Wagnerowi, a tak „nieprawdopodobne” dla „kulturalnego” inteligenta, są jednym z najciekawszych zakątków tragicznego nietzscheańskiego gotyku. Najprostsze wytłumaczenie tego „dziwactwa” wielkiego samotnika jest antagonizm Nietzschego i Wagnera. Nietzsche pisał na złość Niemcom, tonącym w „Bałwochwalczy wagneryzmie”. Nietzsche się mścił. Napewno ta hipoteza będzie po wsze czasy jedyną dla ludzi pewnego typu. Ale jest ona nieciekawa jak ci, którym odpowiada. I nieprawdziwa. Dość wyczytać się w styl, język, dość wsłuchać się w rytm myśli Nietzschego, aby dojrzeć prawdziwą sprężynę paradoksu. Nietzsche był wielkim poetą skrótów; *szal skrótu* — oto co upaja w jego pismach. Zamykał w swoich epigramatach takie bogactwo treści, kondensował takie obszary doświadczenia, że zdania jego bliższą prawdziwie jak brylanty, o których niesposób powiedzieć, jaki kolor mają „naprawdę”, bo dość głowę lekko zwrócić, aby rozjarzyły się w nich nowe światy barwne. Ilościowy skrót tkwi w tej impertynencji, którą Nietzsche cisnął Wagnerowi, powiadając, że dopiero Bizet pokazał mu, czym jest muzyka! — Wagner i Bizet — gdzie Rzym? — kiwają głowami poczciwcy, nie mogący nadażyć za groźnie zwinną myślą Nietzschego. Trzeba na swoją rękę przerobić lata doświadczeń, aby zasmakować w tej impertynencji, aby porzucić wagnerowskie „Sursum-Bumbum” dla „plytkości” Bizeta, aby w tem, co bliższe, prostsze, codzienniejsze, usłyszeć właśnie tętno wieczności, raczej niż w tem, co uroczyście-podniosłe, profesjonalnie-głębokie, dostojnie obuczzone problematami!

Ilekróć chcę mówić o Stendhalu... mówię o Nietzschem. Nie czynię sobie z tego wyrzutu: obaj wyjaśniają się znakomicie. Ale nietylko nazwisko Stendhala można by tu wymienić. Z równą racją nazwisko Merimégo, autora „Carmen”.

Krótką linią namiętności — oto co pociągało Nietzschego ku „Carmenie” Bizeta, ale i ku „Carmenie” Merimégo.

„Carmen” należy do typu lektury prawdziwie uniwersalnej. Ma swoją stronę „dla wszystkich” — i „dla wybranych”. Jest „porywającą opowieścią” z klasyczną fabułą miłosną, a więc należy do gatunku literackiego, który mimo wszystkie ewolucje estetyczne i socjalne pozostał ulubionym typem popularnej lektury; — i jest równocześnie stalowym poematem o miłości, hardym w swym amoralizmie, kulcie instynktu, w swej zuchwałej aprobacie triumfującego życia, wypowiedzianej z żarem, który ma w sobie coś z przeraźliwego chłodu zagłady. Żadna literatura świata nie może się obyć bez swej „Carmen”, w języku ojczystym: jest w tej opowieści jakiś odwieczny kaprys ducha, stary jak ludzkość.

Autoportret Stendhala, który oglądamy z kart „Życia Henryka Brulard”, należy do tej samej rodziny. Jest też poematem dumy, instynktowości, wyniosłości radości — poematem pogardy dla płaskiego życia. Przykładając do tej książki miarę codzienną, łat-

wo popaść w nieporozumienia bez wyjścia. Stendhal ukazuje się nam jako arystokrata i jako demokrata, jako antyklerykał i antyreligiant — ale jednocześnie jako wielbiciel „hiszpańskiego” charakteru swej ciotki, uosabiającej rasę, dumę, wyniosłość. Wyróża się z lekceważeniem o arystokraty i cieszy się, gdy ich głowy spadają pod nożem gilotynej — ale jednocześnie ma do idiosynkrazji posunięty wstręt dla wszystkiego co gminne. Zresztą nie przeszkadza mu to przyjaźnić się z chłopcem należącym do sfery niższej niż on sam, pełnej przywar drobno-mieszczaniskich i ironizować fumi ojca, wielce tę konfidencją zgorzowanego. Nie na tem koniec: sprzecznosci rządzi nietylko upodobaniami Stendhala-Brularda ale i jego światem moralnym. Jest wyniosły — i nieśmiały. Zawzięty, mściwy, bezlitosny — i czuły, egzaltowany, skłonny do szlachetnych uniesień. Przypominam sobie książkę pewnego francuskiego literata p. t. „Les mauvais maîtres”, który do liczby „złych nauczycieli” włączył również Stendhala. Według autora patycznego pamfletu Henryk Beyle miał być zły z natury, a literatura jego tą złością do gruntu przesycona.

Cóż za nieporozumienie! Z autobiografii Stendhala, pisanej z niedającym się podrobić akcentem szczerości, wolnej od tendencji autobronowniczych, owszem pełnej samooskarżeń, wyznajni nieraz upokarzających — co innego zgółta nam się odslania: — wrażliwy, czuły, ale dumny człowiek, który dostał się w ciężkie, niezdarne łapy otoczenia: ojca, bezdusznego dewota, również dewotki i instygantki ciotki Serafii i głupich nauczycieli; był „mroźny” od dziecka. A że inteligencja przetrastała otoczenie, więc do poczucia doznawanej krzywdy dołączała się wzgarda młodego lwa dla swych tępych trenerów. Ten niesforny dzieciak, krnąbrny, zamknięty i w wiecznej wojnie ze światem — na ileż potrafił zdobyć się uczucia dla dziadka, łagodnego, na starość nawróconego sceptyka, jak gorąco kochał swoją matkę!

Zarówno jak banalna klasyfikacja społeczno-polityczna nie wystarczyła dla określenia przekonań Stendhala, tak i utarte schematy moralne nie uchwycą jego złożonego charakteru. Mam wrażenie, że zdobędziemy właściwy punkt, z którego ten charakter można ująć syntetycznie, jeśli umieścimy się na stanowisku *wolności*. Stąd wszystko staje się jaśniejsze: i arystokracizm, który u Sten-

dhal jest umiłowaniem dumy, niezależności, — i demokracizm, chcący wyzwolić z nizin wszystko, co ufne w siebie i wartościowe; równie nienawistny jest z tego stanowiska karierowicz dworski, co schlebający tłumowi demagog.

To poszukiwanie równowagi między arystokracyzmem a demokracyzmem, które przez całe życie tak niepokoiło Stendhala, stawiając go wobec coraz to nowych sprzeczności życiowych — jakże jest dobrym kluczem dla zrozumienia jego napoleońskiej kariery i kultu Bonapartego. Właśnie Napoleon realizował ów upragniony ideał rewolucyjny arystokracyzmu, którego Stendhal nie znalazł ani w rachitycznym, zrutyzowanym arystokracyzmie Starego Porządku, ani w krwawych harcach motłochu rewolucyjnego.

Ale co dla czytelnika polskiego szczególnie ma znaczenie — to że osobisty dramat Stendhala, dramat człowieka wiecznie oscylującego między arystokracyzmem a demokracyzmem, w znaczeniu nietylko politycznym ale i życiowo-psychologicznym — jest dramatem *par excellence* polskim. W kraju, organicznie nie znoszącym nierówności, a wyczulonym jak żaden inny na najsubtelniejsze odcienie hierarchii społecznej i towarzyskiej, w kraju gdzie się najwięcej mówiło o braterstwie (co zresztą nie było absolutną błagą), a gdzie poczucie dystansu między ludźmi dochodziło do wirtuozostwa — ta autobiografia Stendhala ma wszelkie szanse stać się lekturą domową, artykułem pierwszej potrzeby. To, co w psychice polskiej rozgrywało się w sferze uczuciowej, to ujął dyscyplinowany mózg francuski w subtelne ramy refleksji.

Dla smakoszwów już dodam, że właśnie w „Brulardzie” znaleźć można szkicowo zarysowaną teorię dobrego gustu, tak ważną dla Stendhala, a tak ciekawą dla każdego, kto pamięta niezrównane w swej subtelności obserwacje na temat *tonu* w „Czerwonem i czarnem” i w „Pustelni Parmeńskiej”.

Obie książki: „Carmen” i Życie Henryka Brulard” wyszły w Bibliotece Bona — i obie trzeba przeczytać właśnie *jako tłumaczenia*. Jest to rozkosz specyficzna: zanurzyć się wraz z tłumaczem w puszcę odpowiedników językowych, zdawałoby się niemożliwych, a tak bujnie wyrastających z pod ręki niezrównanego Bona. Niema myśli nieprzetłumaczalnych — są tylko tłumacze-wirtuozicy i tłumacze-wirtuozki.

J. E. Skiwski

STEFF NIEZNAJOMY

Czy ja cię znam?... Nie pamiętam... Zapomnieć tak nie mogłabym przecie...

Nie! Nigdy nie widziałam cię dotychczas, pierwszy raz spotykam cię na świecie!

Nie rozumiem, kim jesteś — nie było ciebie dotąd w żadnym życiu zdarzeniu.

Patrzmy dziś na siebie bez słowa — ty w słońcu — a ja w wielkiem zdumieniu.

Wiem tylko, widzę teraz, że ciebie szukałam zawsze w ludzkim mrowisku,

że do twego tęskniłam uśmiechu, do

Szłam do ciebie przez drogi zamkn

Tylko szczęście nigdy mojem nie by

Na kamiennych schodach siedzisz ze

I nie chcesz mi powiedzieć, kim jes

Przyszedłeś tutaj tak niespodzianie,

Wiem jednak, że ty znasz mnie nap

I nie jesteś tem wcale zdziwiony, że

I w twarz twoją patrzę, tak jak w z

Chcę zrozumieć, skąd znasz mnie, b

O, powiedz mi, mój miły, powiedz m

— Jakże więc? Patrzysz i nie wiesz

Jestem twoim złym losem, od której

Gdy mówią ci o mnie, w inną stro

— To nieprawda! Nie wierz temu,

